Tom I. Nr. 4.

1. Sierpnia 1859.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Śmierć króla Popiela i Ojciec Piast.

W mieście Kruszwicy nad Gopłem jeziorem stał się wielki rejwach. Bo czy to słychana rzecz aby kogo żywcem myszy zjadły... te drobne i lękliwe stworzeńka! A tu właśnie obiega między ludźmi pogłoska: że króla Popiela na śmierć myszy zagryzły.

I prawda była — Bóg taką straszną śmiercią ukarał króla za jego niesprawiedliwe rządy i pomordowanie stryjów, którzy go jako swego synowca surowo napominali, chcąc na lepszą naprowadzić drogę. Jeszczeć król sam może się był i opamiętał, ale miał on żonę Ryxę, cudzoziemkę z rodu, wielce niepoczciwą i dumną niewiastę. Jej to głównie nie przypadały do smaku rady stryjów mężowskich, bo się lękała o swoją własną skórę — więc na nich podbudzała swego, który że był słabego dla niej serca, wnet też ją i usłuchał. Na ten koniec udał on śmiertelnie chorego i napisał piękne listy do stryjów, prosząc aby przyjeżdżali czemprędzej, posłuchać jego ostatniej woli. Nie spodziewali się stryjowie żadnej zdrady, więc wszyscy na jeden raz przybyli do królewskiego dworca w Kruszwicy. A jak przybyli,

tak w rzeczy samej zastali króla prawie umierającego w łóżku, a przy nim żonę okrutnie zapłakaną i wyrzekającą. Wszystko to było jeno udanie na ich szkodę, ale oni tego nie zmiarkowali i w dobrej wierze, litując się nad obojgiem, pozostali na wieczerzy przez noc. Dopieroż to cudzoziemka głaska ich udatnemi słowy, a gości, a częstuje, a podaje wino i miód pełnemi dzbanami. Słodkie wino, słodszy miód, król zaprasza, królowa aż po rękach całuje... jakże tu nie pić! — więc pili i dopili się śmierci jeszcze tej nocy, bo i to wino, i ten miód były zaprawione trucizną. Jak tylko pomarli, król kazał ich ciała co rychlej wytaszczyć z zamku i do jeziora wrzucić rybom na pastwę. Ale pan Bóg inaczej dopuścił! — z stryjowskich trupów wylęgły się ich mściciele. Zaledwie świtać poczęło, hurma zajadłych myszy wpada na zamek do pokojów królewskich. Zrazu król i jego żona śmieją się z tego; ona kopnie nogą, on kijcem żelaznym uderzy, myśląc że tak ich duchem napędzą do dziury. Ale niebawem widzą że to nie przelewki — myszy rwą się do nich obcesowo, a co zbiją którą na śmierć, zaraz z jej ciała dziesięć innych wyrasta. Tedy oboje jak niepyszni w nogi — myszy za nimi; wybiegają z pokojów na pole — myszy tuż za nimi; więc dalej do brzegu gdzie była łódź królewska, i halo na wodę — ba i myszy w pław za nimi przez jezioro. W pośrodku tego jeziora stała na wyspie wysoka wieżyca, cała z kamienia; — tam łódź skierował król, wyskoczyli oboje i do wieżycy za żelaznemi drzwiami się skryli. — Teraz, myślą sobie, już jesteśmy bezpieczni! — Gdzie tam! przed Bożą pomstą nie masz bezpieczeństwa! — przez kamień, przez żelazo przegryzły się myszy i póty nie spoczęły, aż króla Popiela i królowę Ryxę na śmierć nie zajadły. —

Do dziś dnia, choć temu już tysiąc lat będzie zpełna, pokazują ludzie w Kruszwicy to miejsce, gdzie stała ona „mysza wieża“ nad wodą. Podobno ją jakiś Prusak zakupił na browar i teraz piwo tam warzą; — tak to on umiał poszanować naszą pamiątkę... bodaj go myszy zagryzły!...

A w mieście Kruszwicy, jak powiedzieliśmy, stał się wielki rejwach. Nikt wprawdzie króla nie żałował, tem mniej jego żony cudzoziemki. Ależ to o nowym królu wypada pomyśleć! byle nie taki był jak pierwszy.

I zjechał się naród polski na naradę: kogoby sobie obrać na króla. I długo radzono a zgody nie było; jedni trzymali za tym, drudzy za onym — a tymczasem coraz mniej chleba starczyło na wyżywienie tak mnogiego ludu i głód poczynał dokuczać na piękne. A był tam w tej Kruszwicy stary kołodziej, nazwiskiem Piast, człek dobry, sprawiedliwy i gościnny. Temu niedawno przed tem urodził się był syn, więc zabił wieprza i podsycił beczkę miodu, aby odprawić obrządek pogański postrzyżyn — gdyż wtedy, kiedy to się działo, ludzie nasi nie znali jeszcze ani Chrystusa ani Matki Najświętszej. Wtem zachodzą do niego dwaj podróżni, a znać z dalekiej podróży bo osypani kurzem i potem oblani, a dziwnie pięknych lic i miłego wejrzenia byli oba. A jak przyszli, tak przystojnie pokłonią się gospodarzowi, prosząc o gościnę. Z otwartemi rękami przyjął ich Piast u siebie, posadził za stołem, nakarmił i napoił — a oni mu obyczajem chrześcijańskim ochrzcili syna, któremu dali na imię Ziemowit. Co uczyniwszy pożegnali go i w dalszą zabrali się drogę. Zaledwo co wyszli za bramę, wpada Rzepicha, niewiasta kołodzieja do izby i dziwne opowiada rzeczy: jako że nie wiedzieć zkąd w kadziach przybyło im dużo miodu a w spiżarni mięsiwa. Nie chciał kmieć temu wierzyć aż się na swoje własne przekonał oczy. I podziwuje stary Piast i jego niewiasta Rzepicha: co by w tem było! czy jakie czary, czy Boski cud?... I kiedy sobie to dziwne zdarzenie w głowie rozbierają — drogą od miasta wali się do nich gromada ludzi, dopytując czyby nie mogli dostać tutaj żywności za zapłatę, bo strasznie byli głodni. A na to Piast: — Nie jestem ja żaden kupiec ani szynkarz, iżbym miał za pieniądze sprzedawać chleb i miód; ale miło mi będzie, podejmować was u siebie, panowie bracia, i tem usłużyć czem łaskawa Opatrzność dom mój obdarzyła, — więc proszę!.... To mówiąc prowadzi wszystkich do stołu, karmi i poi należycie, a oni mu za to powiedzieli Bóg zapłać i powracając podali innym po drodze: jakiej gościny doznali u Piasta. Wnet całe miasto dowiedziało się o tem; — kto był głodny chleba i spragniony miodu, szedł sobie wprost do gościnnego kołodzieja i bywał syty, bo Piast przed nikim drzwi nie zapierał, a wszystkich raczył hojnie cudownym miodem i jadłem, którego mu nigdy nie uby-

wało. I nie czary to były! ale to był cud święty, którym pan Bóg pobłogosławił dom miłego sobie kmiecia Piasta przez onych dwóch podróżnych, a raczej dwóch Aniołów swoich, zesłanych z nieba na Polską ziemię. Tym cudem chciał pan Bóg wskazać narodowi: kto wart być jego królem—i czem się stanie mocnym na przyszłość: „że skoro będzie cały naród jak on Piast dobry, pracowity, gościnny, sprawiedliwy i między sobą w zgodzie żyjący — będzie miał wszystkiego dostatek i widoczne błogosławieństwo Boże spłynie na niego; skoro zaś kiedy tych cnót się pozbawi — natenczas Bóg go odstąpi i popadnie on w srogą niedolę.“

Takim cudem świętym kołodziej Piast wnet pozyskał sobie wszystkich serca. I nie łamali sobie już dłużej głowy nad tem: kto miał zostać ich królem. — Bo i po co tu — prawi każdy — daleko szukać za tem co mamy pod bokiem? Piast nasz król i ojciec.... niech żyje! On co taki dobry gospodarz u siebie, będzie i nami dobrze gospodarzył i nikomu krzywdy nie uczyni. —

I tak kołodziej Kruszwicki, ojciec Piast po strasznej śmierci Popiela został królem, a ród jego potem blisko 500 lat panował na tronie polskim.

O Zosieńce, sierocie.

W chacie siedzi Zosieńka spłakana,
Ciągle płacze i zimą i latem;
U ciemnego tam płacze tapczana,
Gdzie jej matka żegnała się z światem;
  Oj, na wieki żegnała się z światem.

Siedzi ciągle z zgasłemi oczyma,
Siedzi w zimnie, głodzie i ciemnocie,
„Oj! biadaż mnie, mateńki mej niema,
Oj! biadaż mnie, oj biada sierocie,
  Samej jednej, biada mnie sierocie!“

Trzy tak lata płakała Zosieńka,
Trzy miesiące i trzy dni płakała:
Aże przyszła do niej w śnie mateńka,
Która z grobu na płacz dziecka wstała,
  Na płacz dziecka, oj! z trumienki wstała.

Więc Zosieńka podniosła rączęta
I wołała do niej tak miłośna:
„Czemuś smutna taka, matko święta!
O czemu ty matko tak żałośna,
  Taka smutna matko i żałośna?

Jakie niesiesz ty dwa wiadra wody,
Że cię ciężar aż do ziemi gniecie?
Małoż miałaś ty tutaj roboty,
Że na tamtym musisz dźwigać świecie,
  I na tamtym musisz dźwigać świecie?“

„Oj córeczko, oj córeczko miła!
Zosiu moja z czarnemi oczami
Toś ty płaczem twoim mi zrobiła:
Toć to twoje łzy dźwigam wiadrami,
  Wszystkie twoje łzy dźwigam wiadrami.“

I staruszka przeszła pochylona,
Wiadra ciężko gniotą ją ku ziemi,
A Zosieńka próżno, przestraszona,
Chciała pomódz rączęty białemi,
  Rączętami swemi miłośnemi.

Lecz już odtąd Zosia nie płakała,
Ani w kącie już siedzić dziewczynie,
Ale w polu pilnie pracowała;
I zajaśniał ogień na kominie,
  Ogień jasny zabłysł na kominie.

Przez dzień cały u żniwa na czele:
Toć zawitał dobytek do chatki;
A co wieczór i w każdą niedzielę
Modliła się za duszę swej matki,
  Za duszyczkę swej kochanej matki.

Trzy miesięce przeszło i trzy roki,
Nocy trzeciej usnęła Zosieńka,
Gdy u czółka znowu w sen głęboki
Stanęła jej bieluchna mateńka,
  Jako żywo! bieluchna mateńka.

Aleć dziwnie była uśmiechniona,
I w chędogą przyodziew ubrana,
I podniosła bez wiader ramiona —
Aże Zosia: „Mateńko kochana“
  Zawołała „mateńko kochana!“

„Córuś moja, dziecię moje drogie!
Toć ja teraz u Boga szczęśliwa,
I na sobie mam szaty chędogie,
I me ciało spokojnie spoczywa —
O! w trumience spokojnie spoczywa.

A dusza ma nad tobą się śmieje,
Czyli uśniesz na moim tapczanie,
Czyli wstajesz, gdy rano zadnieje,
Czy na łące zielonej lub łanie,
Przy robocie na łące lub łanie.

A gdy w chacie ozdoby przybywa,
Gdy się mnoży w maleńkiej chudobie,
To ja cieszę się — taka szczęśliwa,
Jakbym była tutaj, tuż przy tobie,
O! przy tobie, córeczko, przy tobie!

A gdy idziesz ubrana w kwiatuszki
Do kościoła, o moje ty dziecię!
To ja chlubię się pomiędzy duszki,
Że mam taką córeczkę na świecie,
Taką dobrą córeczkę na świecie!...“ *J. Sz.*

Każdy stan sobie dobry.

Zły rozum u tego człeka,
Który na stan swój narzeka.

Od Żuławieckich łąk szli stary Maciej ze synem pod wieczór szeroką miedzą ku wsi, co tam opodal z zielonych sadów widniała. Po kośbie oni wracali do dom, pomęczeni setnie że to trawsko na tych tam łąkach niepoczciwe i upał tego dnia był nieznośny, a zresztą że praca była gwałtowna, bo stary Maciej się uparł, we dwóch pokosić wszystką trawę na łące, co ją był dla siebie na ten rok od dworu wynajął. Właśnie z miedzy schodzili na drogę, gdy zadzwoniono na Anioł pański z dzwonicy. Gospodarz duchem obnażył siwą głowę, uczynił krzyż święty i jął się do modlitwy nabożnie. A z jego głowy bieluchnej jak u gołąbka ociekał rzęsisty pot na czoło i na lica stare, a kosa co ją miał spartą na ramieniu, łyskała w zachodniem słońcu ogniście niby od złota szczerego, a oczy jego spokojnie i wesoło patrzyły przed siebie. Zaś wedle starego

idący syn, chłop spory i silny niby dąbczak młody, czegoś strasznie chmórny był na licu i w oczach niby gniewny. I ten do pacierza zdjął wprawdzie kapelusz i ustami poruszał, ale widocznie było że mu ta modlitwa nie szła od serca.

— Amen! zakończył stary na głos modlenie, przejechał raz i drugi rękawem po twarzy spotniałej i wesołem okiem obejrzy się na syna. Tej chwili właśnie syn zamiesił ręką w powietrzu niby to żegnając się, poczem kapelusz z mocą wmiętosił na głowę, zsunął go na same czoło i pochmurny gdyby sum idąc, wodził okiem po kamieniach na drodze.

— Walku! zagadnie gospodarz — czyś ty muchy łapał przed nosem?

— Właśnie muchy! — odburknie parobek. Przecie widzieliście że się żegnałem.

— To ty się żegnał, chłopcze?... podziwuje stary, Patrzajcież! nigdybym tego nie rzekł.

— Cóż znowu! bąknie Walek w gniewności — czy sobie ojciec żartują ze mnie albo co? żegnałem się, powiadam raz.

— Gadajże sobie zdrów i sto razy — na to ojciec — ale mnie się nie widzi, aby to takie przed nosem machnięcie, miało krzyż święty znaczyć. Nie, jako żywo chłopcze! ani ja twój ojciec, ani twoja matusia nie uczyli cię takiego krzyża. Ale cóż tobie synu że tak okiem szyjesz po ziemi, jakby ci wstydno było na świat popatrzyć?...

— E tatusiu! pryśnie syn z gniewu. Co wam to wadzi, jak ja sobie tam patrzę.

— Au, synal mi się sroży jak byk do bodzenia! wara malcze! — krzyknął na ostro Maciej, bo ja cię wnet rozumu nauczę, jak masz powiadać do ojca.

— Ta-bo mi dojadacie żartami, tatusiu! rzeknie na pół z płaczem parobek — a tu człeku właśnie żarty na myśli, co taki niby koń spracowany i głodny jak pies. Oj! Boże mój Boże, co takie życie warte! pracuj i pracuj od świtu do nocy aże kości trzeszczą... a toć prawdziwa niewola ta nasza dola chłopska!

— Cha, cha, cha! zaśmieje się stary całą gębą. To mu dzisiejsza kośba tak dogryzła!... otóż macie! chłop nie uroko, jak się patrzy, młody, silny, zdrów jak rydz i na pracę się

krzywi lada jaką. To ja stary grzyb, cobym za swoje lata ze czterech takich kupił jak ty, ja twój ojciec ani krzty nie mam żalu do pracy, jeno sobie oto jak widzisz wesół Boga chwalę i na spoczynek rześko idę w nadziei że mi go pan Jezus na noc dzisiejszą dozwolić raczy tem pewniej, im mocniej nań zapracowałem, — a ty nicponiu iż tak cię nazwę po imieniu, krzywisz się jak nieprzymierzając niezdarny dzieciak, kiedy go komar ukąsi... żeć się zdarzyło dzień jeden odrobinę więcej kosą pomachać?...

— E tatusiu! powie znowu Walek i znać było że się już wstydził tego mazgajstwa — to tak niby niekoniecznie... za dziś, na tę pracę się użalam... to-by jeszcze po prawdzie powiedziawszy i fraszka była;.. ale bo to dzień w dzień haruj a haruj jak bydle a nie człowiek, i tak przez całe życie... to powiedzcie sami, że niekonieczno pocieszno dla serca.

— A jakżeś ty myślał, synu! zawołał Maciej. To widzę, chciałbyś miodu bez zachodu i bez pracy kołaczy — he? O nic z tego! póki świat światem, jeszcze nikogo próżnowanie nie nasyciło. Uważ to sobie synu, co mówię, żeby nie było na wiater to moje gadanie. Kto na życie nie pracuje, Tego bieda pomorduje — pamiętaj!...

— Takci tam zaraz pomorduje! wtrąci się Walek. Na, patrzcie oto, tatusiu, jako ich strasznie morduje... o! o!...

I wskazał ręką przez bramę na dworski dziedziniec, wedle którego właśnie im wypadała droga do domu. Na ganku przed białym dworem siedzieli pan z panią. Pan sobie fajkę kurzył na długim cybuchu, a pani jakąś tam letką robótkę trzymała w ręku. Zaś na dziedzińcu do koła zielonego trawnika przejeżdżał się panicz na żwawym koniku i przed okiem rodziców cudności na nim dokazywał, że aże każdą razą pani krzyknie z przestrachu, taka bojąca o syna, a pan jeno głową kiwa z upodobaniem że takiego ma chwata.

— No, i cóż powiecie tatusiu! — prawi dalej Walek — albo to znać na nich pracę, tak oto jak po nas?...

Stary Maciej nic w to nie rzekł. Widać że nie słyszał, tak się cały zapatrzył na panicza, dokazującego po dziedzińcu na koniu. Poczciwy starowina! ukryty z po za płotu patrzy

a patrzy, aże mu łzy postąpiły do oczu z radości, że taki panicz do konia chwat. O! bo Maciej to były wojak, a że sługiwał konno, więc sam w tem był praktyk nie lada i strasznie za koniem przepadał. A tu mu młode lata na widok panicza w pamięci się odezwały... młode lata z dawnej wojenki... hej! mój Boże! takie piękne lata! aż stary jak małe dziecko zaszlochał, taki mu żal po nich ścisnął za serce.

Tymczasem Walek że ciągiem miał sobą nabitą głowę, nie zważał jakoś na ten dziwny płacz ojcowski, a iż mu ojciec nic nie rzekł na jego mowę, którą miał sobie za coś bardzo mądrego, więc znowu starego zaczepi i tak niby pokpiwając rzecze;

— Powiedzcież raz, tatusiu — to i oni pracują — he?...

Na te słowa Maciej jakby go żmija użarła, tak skoczy i jak nie popatrzy na syna od gniewu, a nie krzyknie: — Milcz błaźnie! — to Walkowi aże ciarki przeszły od głowy do pięty i omal co na oba kolana nie bęcnął ze strachu przed nasrożonym ojcem. A stary Maciej raz jeszcze zwrócił się twarzą ku dworskiemu dziedzińcu, uczynił krzyż święty w powietrzu niby na błogosławieństwo i mówiąc sam do siebie: — Daj mu Boże zdrowie! — puścił się dalej drogą ku domkowi.

W drodze dopiero zagada do syna lepszym głosem:

— Walek! durnyś ty, oj strasznie durny!

— Durny albo nie durny! — odetnie się parobek śmielej, miarkując że już starego gniew ominął. Może to nie prawda że panowie nie znają co praca, jeno sobie baraszki stroją — a taki nijakiej biedy nie mają, owszem rozkosz.

— Aleś durny chłopcze! mocniej powtórzy Maciej, — jak bót dziurawy, aże mi wstydno że takiego osła mam w domu, co go nazywają moim synem.

— Niechta! bąknie do żywego urażony parobek — wyście ojciec, to i wymyślać wam wolno na mnie co się spodoba.

— Wymyślać?... nie synu! nie ja wymyślam na ciebie, ale ty na niewinnych ludzi wymyślasz. Wiemci ja że to nie ze złego serca było, co rzekłeś, jeno tak potrochu z niedobrego humoru iżeś się dzisiaj nieco w pracy przeciągnął, a reszta na to mówiąc z głupoty. Ale i to już niedobrze, bo człek w każdym razie powinien być jednaki i nikomu krzywdy nie czynić.

Krzywda każda to grzech wołający o pomstę do nieba, od czego broń ciebie Boże! Powiadasz że we dworze nie pracują a po ucha mają rozkoszy?... Durny chłopcze! toż to u ciebie jedna tylko praca na świecie... ta co z kosą, siekierą, z pługiem i z cepem ma do czynienia? — To i nasz dobrodziej u ciebie nie pracuje, dla tego że sam nie młóci w stodole, nie orze na polu i drwa sobie do kuchni nie narąbie?... Widzisz jakiś ty głupi co tak właśnie jak ślepiec o kolorach sądzisz! Owo i na dwór wskazujesz, jakoby tam nijakiej pracy nie było a roszkoszy wiele, dla tego żeś widział państwo siedzące na ganku i panicza figlującego na koniu... i już ci ztąd zazdrość. Oj! nie zazdrościłbyś ty panu, gdybyś choć z jeden dzień posiedział w jego skórze i potrzebował popracować głową rozumnie, aby ład w tak wielkiem gospodarstwie utrzymać, na wszystkie strony się opłacić, każdemu dogodzić i tyle smutnych nieszczęść przenieść na sobie. Oj! nie zazdrościłbyś ty i paniczowi że sobie czasem na koniku pohasa, gdyby ci przyszło tak jak jemu dzień po dniu kilka godzin z tym panem dyrektorem, co to go wszystkie nasze dzieci we wsi znają że taki chudy i wysoki, prześlęczyć nad książkami w różnej nauce, iż się małemu główka popoci bardziej niż tobie, któryś cały dzień kosił trawę na łące. Dla tego nie pokrzywdzaj ich, chłopcze! twojem nierozumnem gadaniem, nie zawidź drugiemu stanu w którym go pan Bóg chciał mieć, ukochaj pracę twoją rolną do której ci pan Jezus użyczył siły, zdrowia i prostego rozumu, a nie będzie ci ona przyciężką, jak nie jest mnie staremu, i twojej matuli i naszym sąsiadom dokoła, co żyją z pracą w zgodzie i szczęśliwości.

Tak mówił stary Maciej do syna. Tymczasem słonko już dawno zapadło za góry i zrobiła się noc na piękne. A oni obaj idą drogą milczący i dumkę sobie dumają: ta syn pewno nad tem przemyśla co mu tatuś prawili przed chwilą, a znowu Maciej pewno w duchu się modli iżby to jego mówienie synowi do serca trafiło. I tak zadumani oba, omal co nie pominęli własnej chaty, gdyby nie wierny Bryś, który czując swoich w bliskości, zagłosił radośnie. Wtedy się dopiero ocknęli i skierowali ku chacie. Z proga zawołała na nich gospoś niespokojna:

— A chodźcież raz, mitręźniki, chodźcież! o dla Boga!

dyć już strachałam się w duchu, czy was jaka zła dola nie spotkała po drodze.... Co wy sobie myślicie, włóczący się tak do późna w nocy?

— Ano, myślicie sobie, moja stara — odetnie się Maciej — żeś my dziś zapracowali na dobrą wieczerzę a nie na próżne gadanie.... nieprawda synu? —

— Oj jeść, matulu, gwałtu jeść! bom głodny jak nie wiem co — zawoła parobek stawiając kosę wedle ojcowskiej na miejscu i rzucił się na ławę umęczony, aże pod nim zatrzeszczało.

— Jezus Marja, chłopak! krzyknie kobieta — połamiesz mi ławkę.

— Nic to, matusiu! to tak jeno z pracy ociężałem potrochu. Jeść, jeść! bo mi aże mdło od głodu.

— Samiście se winni — powiada matka, podając pilno na stół kopiastą misę ziemniaków i drugą z kwaśnem mlekiem. — Na, na.... pożywajcie zdrowi!

— A ty matko? — zapyta Maciej.

— O! właśnie czekałabym na was do tak późna — prawi gospoś i przysiędzie się do starego, i miłem okiem nań spojrzy, i zapaską mu czoło mokre obetrze, ta rzeknie: — Ej stary! taki ty się z tą twoją nagłością w pracy, wczesnej — czego Boże chroń — śmierci dobroisz.... zobaczysz!

— Poczkaj, matko! powie wesoło gospodarz — jeno sobie podjem, to pogadamy o tem.

— A tak, tobie żarty na myśli, ale nie mnie. Cóż kiedy ja swoje, a on swoje! powiadam: szanuj swoje kości, stary, i nie próbuj się z młodym na siłę! a on po swojemu: chociaż stary ale jary! i dalej fiukać sobie pod nosem, ta i po dawnemu.... halo do pracy.

— Przyganiał ci kocioł garczkowi — zaśpiewał Maciej — Matko! a jak tam dalej?...

— E, krętaczu jakiś! żachnie się niby w gniewie kobieta. — Tobie jeno w mieście siedzieć i pisać supliki do sądu.

— Odże widzisz, moja babo! nie wdawajże się ze mną w procesa bobyś na pewne przegrała. Ale — powiada, kładąc łyżkę na stole — oto, dziękować Bogu, pożywiło się należycie. Dokładajże i ty chłopcze co żywo a nie zabawiaj się bo jutro

równo ze świtaniem trzebaby się wybrać do siana, żeby go jeszcze za pogodę uchwycić i bodaj wieczorem poskładać w kupicy, — bez tego nocy suche.

— Na to parobczak, wybrawszy do ostadka z misy, oblizał jeszcze łyżkę ze wszystkich stron, przeciągnął się raz i drugi aż wszystkie kości w nim zachrobotały, ziewnął na głos i krzywiąc gębą gdyby po kwasie, pełną garścią poskrobał się w głowę.

Zauważał to ojciec, więc swoją potrąci w bok: — Patrzajno matko, jaki nasz synal krzywy! możeś ty mu przypadkiem kwasku nasypała do mleka?....

— Straszniеś mądry! ujmie się Maciejowa za synem; czy cię dzisiaj co nie ukąsiło żeś taki niedobry?....

— Ta gdzie ja niedobry, kobieto!.... zawołał stary Maciej wesoło. — Pójdź babuś do tańca! niechaj ci przy miesiączku na dobranoc zaśpiewam.

I zanim się jego spodziała, już pociągnął ją z ławy na środek izby, uchwycił jedną ręką w poły a drugą odgarnął siwego włosa z czoła i stając na przeciwko syna, zaśpiewał żywo:

> Za góreczką, za niwą,
> Ożenił się z leniwą,
> Ożenił się, sam zleniał —
> Jabym się z nim nie mieniał.

I dalejże, potupując nogą, zawinął tanecznicą kilka razy gracko po izbie, mimo jej woli i chęci, podczas kiedy chłopak za stołem rozruchany śpiewką, z śmiejącem okiem wesoło poklaskiwał w ręce.

— A co! zawołał Maciej, puszczając z rąk zadychaną niewiastę; niedobry ja, matko?.... patrzaj, jakem ci synalka rozweselił!...

— A bodajeś!.... bąkała gospoś, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie — niech że cię.... czy ty mię chcesz zdrowia pozbawić albo co?...

— Widzisz ją, jaka mi delikatka! pożartuje chłop; nie bój się! nic ci nie będzie za Boską pomocą. Na, spij teraz zdrowa! dodał, klepiąc kobiecinę po ramieniu. Ja jeszcze obejdę gospodarstwo, czy się tam co złego nie stało.

A kiedy brał kapelusz na głowę i wedle syna przechodził, poszepnął mu na wychodnem do ucha:

— Chłopcze! spisz mi się jutro dobrze przy robocie, to ci wieczorem opowiem bardzo piękną historję o Kazimierzu Korsaku — a to żebyś się na dalsze lata, mój synu w dobrem życiu utwierdził i nie krzywdował sobie w naszym chłopskim stanie.... Boć każdy stan sobie dobry!...

Dwa piękne przykłady wdzięczności.

Znaleść wdzięczne serce u ludzi, więcej znaczy niż największe pozyskać majątki. Takiej pociechy doświadczyło tego lata u nas dwóch panów: jeden dziedzic z Tarnowskiego od Mielca; a drugi z Sanockiego z Bażanówki dzierżawca.

Pierwszy, doznawszy niejednego nieszczęścia, które jak wiemy że nie po kamieniach ani po drzewach, ale często i po dobrych ludziach chodzi, zmuszony był nareszcie tej wiosny opuścić wieś rodzinną i pożegnać gromadę, której prawdziwym był ojcem i dobrodziejem. Wiadomość ta mocno wszystkich pomartwiła. Wzięli więc radzić w gromadzie, czyby się to jeszcze nie dało przerobić. I uradzili iżby kilku ze starszych gospodarzy poszło do dworu i pomówiło o tem ze samym dziedzicem. Dopieroż we dworze dowiadują się, że wieś już komu innemu sprzedana, że dobry pan nieszczęśliwie podupadł na majątku i że chcąc niechcąc pożegnać ich musi. Co tu począć?... niedługo się namyślano!... żal puścić kochanego pana może na zawsze od siebie; — więc wszyscy ofiarują składkę na wykupienie tej wsi, choćby i po sto reńskich wypaść miało na każdego. Naturalnie że pan nie przyjął; bo nie na to on ich pokochał aby miał kiedyś z nich korzystać!... ale jakiej pociechy doznał w duszy na widok takiej wdzięczności i przywiązania gromady!... to i wypowiedzieć trudno.

Wtym samym prawie czasie okazali się włościanie z Bażanówki podobnież względem swego dzierzawcy. Około św. Jana rozeszła się tam była mylna pogłoska, jakoby dzierzawca Bażanówki, pan dla swojej dobroci powszechnie lubiony między tamtejszym ludem, stracić miał w trzech latach cały majątek na tej dzierzawie tak, że na ten rok nie mając z czego dziedzicowi czynszu zapłacić, rad nie rad precz od nich zabierać się musiał, aby sobie gdzie indziej chleba poszukać. Na taką wiadomość wnet cała gromada z sołtysem na czele zachodzą w drogę panu dzierzawcy, który właśnie był wtedy na polu. Tam Bogiem go pozdrowiwszy, opowiadają co słychać na wsi i że oni go proszą bardzo pięknie aby ich nie porzucał. Co zaś do pieniędzy, których będzie potrzeba na czynsz, niech sobie o to głowy nie łamie, bo ile tam tego wypadnie, gromada się złoży i chociażby, mówią, przyszło każdemu sprzedawać po krowie... dla miłości jego to zrobią bez żadnego żalu. Co słysząc dzierzawca, tak się poruszył w sercu od onej wdzięczności ludu, że właśnie jak dziecko zapłakał, a to z wielkiej radości. Potem podziękował im ślicznie za ich dobre serce, ale powiedział że chwała Bogu! żyjąc oszczędnie i bez żadnych wymysłów, jeszcze nie taki on biedny, żeby aż od nich biedaków potrzebował jakiego wsparcia. „Cześć wam szlachto Bażanówki w płótniankach!...“ Słusznie wyraził się on pan, głosząc przed światem to zdarzenie. A my z naszej strony dodamy: że najpiękniejsze to szlachectwo co idzie od serca!—

BYDŁO ROGATE.

— Nie ma to, kumotrze (rzekł Bartek do Grzeli), jak bydło rogate; i tacy gospodarze, jak na przykład ja, co nie mają wiele roli i łąk, to zawsze lepiej wychodzą na rogaciźnie, aniżeli na koniach. Zestarzeje się wołek, lub krówka, to je mogę jeszcze spieniężyć, a za stare szkapsko, kto mi co da? Te pare ćwiartek zboża, to i wołami na targ zawiozę, a rolę to niemi i uprawię i umierzwię doskonale. Kobiety, toć one to wolą do miasta bardziej końmi jeździć, aniżeli wołami; ale ktoby tam zawsze na

ich kaprysy uważał. — Grzela: Moja toby była dawniej wołami do miasta nie jechała, choćby jej kto był płacił, a dziś krowami jedzie i dobrze wszystko. Ale mnie to wiele pracy kosztowało, i gdyby mi szkapska nie były pozdychały, to nie wiem, czybym był jej upór przełamał. Na konie pieniędzy nie było, wołów nie miałem, tylko trzy krowy; dalej ja jarzemka na nie. Nie przepędziłem pracą, pasłem dobrze, i wystawcie sobie, Bartłomieju! krowy nawet lepiej doiły i ładne miały cielęta. — Bartek: To nie nowina; tylko nieszczęście, że u nas mały chce się równać wielkiemu gospodarzowi i nuże do koni. Gałgana kupi, nie ma temu co dać, miechemby zabił, Ale ma konie i krzyczy na kobietę, gdy mu zaszmerze w głowie: Matko, trzymaj się drabki, a tu chetki jak muły lezą. No, czy nie prawda? — Grzela: Jużcić nie inaczej, miły kumotrze; wiele to jednak jeszcze upłynie wody, niż te dziwaki przyjdą do rozumu. —

Gdy tak owi gospodarze gwarzyli sobie na zapłociu, nadszedł dziedzic z książką i pochwaliwszy Pana Boga, nie dla oka, ale z duszy, zapytał: O czem tedy sąsiedzi? — Powiedzieli mu, o czem gadali; a on im na to:

— Jużcić że to dziwactwo, moi ludzie — to więcej jak pewna. Jest wprawdzie u nas przysłowie: że kto ma żonę Barbarkę, sieje samą tatarkę, a krowami orze — temu dopomóż panie Boże! I ztąd to zapewne nabrali nasi ludzie tego nierozumu, którego i do dziś dnia pozbyć się nie mogą. Ale czas wielki aby się raz opamiętali z tego przesądu. Nie mówię przy wielkich gospodarstwach, gdzie dużo roboty, zwózki i wywózki, tam koń prędzej przydać się może jak wół albo krowa; ale przy takich gospodarstwach jakie wy macie, najlepsze są krowy. Nie trzymając koni ani wołów, możecie natomiast więcej krów nakupić. Mając ich więcej, będziecie w stanie częściej przeprzęgać, nie zbijecie bydełka przy robocie, i mleka wam nigdy nie zabraknie w chałupie i nareszcie doczekacie się własnego przychowku. Tylko o przychowku trzeba zaraz z początku pamiętać żeby się dobrze miał. Bo jak się z młodu zabiedzi, to go zaś potem i owies nie rozciągnie. Za granicą, moi kochani, choć bardzo piękne mają bydło, a taki najwięcej krowami orzą, nawet zamożniejsi gospodarze i dziedzice. I takie

krowy ani co do mięsa, ani co do mleka nie ustępują krowom niezaprzęganym. Czyliż by nam to jaką krzywdą czyniło, nauczyć się od obcych tego, coby i tobie i krajowi wyjść mogło na pożytek?

— Oj prawda, świętą prawdę powiadają jegomość! — przyznali wraz Bartek i Grzela, żegnając się z panem — Bóg zapłać za dobre słowo! —

RÓŻNOŚCI.

Ofiarowanie chleba nowego polskiemu królowi. Polski kraj nie bogaty był w srebro i złoto, ale za to miał chleba do zbytku. Nasze zboże dorodne słynęło po wszystkim świecie, a jako dziś o przednowku biedni ludzie garną się za zbożem do dworu, tak właśnie do naszego Gdańska zjeżdżały się głodne narody ze wszystkich krajów, aby się zaopatrzyć w polski chleb, który im bardzo smakował. Toć święta ziemia była nam najmilszą matką, rolnictwo najprzyjemniejszą zabawą, a chleb największem bogactwem kraju. I dla tego od dawien dawna, może jeszcze od ojca Piasta, był taki piękny w Polsce obyczaj, który się aż do ostatnich czasów króla Stanisława Augusta zachował, że co roku z początkiem żniw pierwszy chleb upieczony z świeżego ziarna, ofiarowano królowi w podarunku. W Krakowie to, sławnem mieście odbywał się ten piękny obyczaj. Wójt miasta na czele Radnych i całej gminy miejskiej niósł bochen świeżego chleba, kosztownie okryty, i na srebrnej tacy do zamku królewskiego na Wawel. A kiedy później z Krakowa przenieśli się królowie do Warszawy, wtedy Krakowski wójt albo który z Radnych miasta wysyłany bywał na rozstawnych podwodach z onym bochenkiem nowego chleba aż do Warszawy, aby doręczyć królowi, jako miłemu ojcu wdzięcznego narodu, ten pierwszy owoc naszego wielkiego bogactwa.

Nie był-że to piękny obyczaj!...

* Przychodzę w odwiedziny do kumoszki, a ona z córką szyje.

„Cóż robicie?“ zapytuję się.

„My szy jemy“ odrzekły.

„Aj! mam ja ich ta dosyć w komorze i w stodole; — na drugi raz zapraszam do siebie.“

Kobiety w śmiech, gdy się dorozumiały o co idzie — i podziękowały ślicznie za taką smaczną gościnę.

Lisie cnoty.

Wiadomo całemu światu,
Jakiego lis jest warsztatu,
Jak się układa, jak liże,
Chytrze oczyma strzyże,
Jak łże, a gdzie jeno wpadnie,
Kradnie. —

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**